

093

Cena egz. 200 mk.

MYŚL WOLNA

Organ Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich
pod kierunkiem ROMUALDA MINKIEWICZA.

№ 6.

Październik 1922 r.

Rok I.

ZMIANA ADRESU:

Wobec rozrostu stosunków, oddzielamy dla dogodności technicznych lokal redakcyjny od lokalu administracji. Odtąd wszelka korespondencja w sprawach redakcyjnych winna być nadsyłana pod adresem:

JÓZEF LANDAU, **Poznańska 14 m. 19**
dla Redakcji „Myśli Wolnej“.

Myślą dorastać można tylko stopniowo... A po stopniach tych można iść tylko rosnąc duszą, a ze stopni raz myślą zdobytych nie ustępując.

Wyspiański: O Hamlecie.

Warszawskie

Towarzystwo Filozoficzne

* * *
*„Kto nie czyni jak myśli,
myśli w sposób niedoskonały“,*

M. Guyau: Moralność bez zobowiązań i sankcji.

Proces Jezusa.

Pytanie, — czy Jezus był postacią historyczną, czy też tylko bohaterem olbrzymiej legendy, — zapewne na zawsze pozostanie nierozstrzygnięte. *) W każdym razie nie posiadamy dowodów hi-

*) Sprawa „historyczności“ (czy dowodowości historycznej) postaci lub dzieła nie tylko Chrystusa dotyczy. Stawianą już była co do szeregu wielkich twórców, właśnie największych z pośród wielkich, i to nie tylko tak odległych od nas w czasie zamierzchłym, jak Homer np., lecz nawet tak bardzo — zdaje się — bliskich, jak Shakespeare. Niezmiernie jest ona charakterystyczną dla psychologii społeczności ludzkiej, w jej stosunku do olbrzymów twórczych, i z tej właśnie strony rozpatrzmy ją w następnym numerze pisma. — **Przyp. redakcji.**

storycznych istnienia i działania człowieka, któryby czynił to wszystko, co przypisywane jest Jezusowi ewangelicznemu.

Karol Kautsky w swej doskonałej pracy p. t. „Pochodzenie chrześcijaństwa“ (Ursprung des Christentums)**) dochodzi do wniosku, że człowiek imieniem Jezus zapewne rzeczywiście istniał i działał w Jerozolimie, jeno działalność jego szła w całkiem odmiennym kierunku niż działalność Jezusa ewangelicznego. Bardzo ciekawe światło na tę sprawę rzuca nieco bliższe zastanowienie się nad przebiegiem procesu i męki Jezusowej.

Dzieje męki Jezusowej rozpoczynają się wjazdem Jezusa do Jerozolimy. Jest to tryumfalny wjazd króla. Głupy wybiegają naprzeciw niemu; jedni rozścielają swe szaty na drodze, inni rzucają mu pod stopy gałązki palmowe i wszyscy wołają:

„Hosanna! błogosławiony, który idzie w imię pańskie! Błogosławione, które idzie królestwo Ojca naszego Dawida! Hosanna na wysokości“ (Mar. XI—9-10).

W ten sposób — jak opowiada Pismo — Żydzi zwykli byli przyjmować swoich królów.

Cały lud jerozolimski sprzyja w tej chwili Jezusowi, uważa go za króla i mesjasza, to znaczy zbawiciela narodu żydowskiego z pod najazdu rzymskiego.

A pamiętajmy, że wszystko to dzieje się w czasach nieustannych powstań żydowskich, kiedy jeden po drugim jawili się mesjasze, pochodzący najczęściej z Galilei, i grupujący pod swemi rozkazami mniejsze lub większe bandy zbrojne proletariatu żydowskiego.

W dzień swego wjazdu tryumfalnego do Jerozolimy Jezus — według podania ewangelistów — jest dość silny na to, aby bez najmniejszego oporu powyżniania kupców i bankierów ze świątyni jerozolimskiej, która była przecie siedzibą prawną tych kupców i bankierów i gdzie dotychczas władali oni niepodzielnie.

Kautsky zupełnie słuszną robi tu uwagę, że gdyby Jezus choć przez czas krótki posiadał tak wielką władzę w Jerozolimie, nie byłby był przeszedł niepostrzeżenie dla tak drobiazgowego kronikarza tych czasów, jakim był Józef Flawjusz.

Warto także zapamiętać, że opowieść o wjeździe do Jerozolimy kładzie w usta ludu pozdrowienie: — „idzie królestwo ojca naszego Dawida“ — co mogło oznaczać tylko przywrócenie niepodległości państwa żydowskiego i było zdradą stanu wobec władzy rzymskiej. Jezus byłby w takim razie nie tylko przeciwnikiem klas uprzywilejowanych w Jerozolimie — Faryzeuszów i Saduceuszów — lecz również przeciwnikiem Rzymu.

Potem następuje zdrada Judasza. — Jeśli uwolnimy się od tradycyjnych poglądów na ten wypadek, uderzyć nas musi jego rażąco nieprawdopodobieństwo. Wszak Jezus — podług Ewangelji — nie był konspiratorem; od dłuższego czasu nauczał publicznie w Jerozolimie, i mnóstwo ludzi musiało go znać, skoro olbrzymie tłumy

***) Przekład polski tego dzieła już jest w druku, nakładem spółdzielni księgarskiej „Książka“, i wkrótce ukaże się w księgarniach.

wyległy na jego przyjęcie. A oto nagle potrzeba aż pocałunku Judaszowego, aby Jezusa można było aresztować. Jeśli żołnierze rzymscy go nie znali, to dość im było zapytać się kogobądź z tłumu żydowskiego. — I co właściwie zdradził Judasz? — Przecie Jezus nie miał żadnych tajemnic politycznych. Osobistości takiej jak Jezus ewangeliczny, działającej jawnie, publicznie i zawsze bezbronnej, nie można zdradzić. Któż za taką zdradę chciałby zapłacić? Jezusa ewangelicznego można się tylko zaprzeć, a zaparł go się najbliższy uczeń — Piotr.

Zdradę Judasza w Ewangeljach wytłumaczyć można jedynie jako pozostałość po dawnej opowieści o mesjaszu — powstańcu żydowskim, który walczył przeciwko władzy rzymskiej i którego rzeczywiście można było zdradzić, odkrywszy za pieniądze jego kryjówkę.

Po zdradzie Judaszowej Jezus jest pojmany i odprowadzony do pałacu arcykapłana, gdzie wytaczają mu sprawę sądową (patrz Marek XIV — 55-64).

Co za dziwaczne, nigdzie nie praktykowane postępowanie sądowe! — Sąd zbiera się w nocy, natychmiast po ujęciu więźnia — i przytem nie w budynku sądowym, który stał zapewne na górze, gdzie była świątynia, lecz w pałacu arcykapłana. Przeciwko Jezusowi występują fałszywi świadkowie, których świadectwom nikt nie zaprzecza; wreszcie Jezus sam oskarża się, przyznając, że jest mesjaszem. Po co w takim razie ten cały aparat świadków fałszywych, skoro sam Jezus odrazu przyznawał się do tego, co uważano za przestępstwo? — Chyba tylko w celu uwydatnienia szczególnej nikczemności żydowskiej.

Wyrok śmierci zostaje wydany natychmiast. Jest to rażące naruszenie form przepisanych, które — jak wiemy — przez Żydów ówczesnych przestrzegane były bardzo starannie. Sąd żydowski mógł wydać natychmiast tylko wyrok uniewinniający, wyrok potępiający zaś mógł być ogłoszony tylko nazajutrz po rozpatrzeniu sprawy.

Po tym wyroku kapłanów żydowskich Jezus odprowadzony zostaje do namiestnika rzymskiego — Piłata. — Przypuśćmy, choć nie posiadamy na to dowodów historycznych, — że wyroki sędziów żydowskich musiały być zatwierdzone przez władzę rzymską.

Cóż teraz odbywa się przed namiestnikiem?

„I pytał Go Piłat: Tyś jest królem żydowskim? A on odpowiedziawszy, rzekł mu: Ty powiadasz. — I skarżyli nań najwyżsi kapłani o wiele rzeczy. — A Piłat Go zasię spytał, mówiąc: Nic nie odpowiadasz? patrz, w jako wielkich rzeczach cię winują. — A Jezus nic więcej nie odpowiedział, tak iż się Piłat dziwował. — A na święto zwykł im być wypuszczać jednego więźnia, któregokolwiek żądali. — I był, co go nazywano Barabbaszem, który z buntownikami był w więzieniu, który był w rozruchu popełnił mężobójstwo. — A gdy wstąpiła rzesza, poczęła prosić, jako im zawždy czynił. — A Piłat im odpowiedział i rzekł: Chcecież, puszczać wam

króla żydowskiego? — Albowiem wiedział, iż go z zazdrości byli najwyżsi kapłani wydali. — Lecz przedniejsi kapłani poduszczyli rzeszę, aby im raczej Barabbasza puścił. — A odpowiedziawszy zaś Piłat, rzekł im: cóż tedy chcecie uczynić królowi żydowskiemu? — A oni zasię wołali: Ukrzyżuj go! — A Piłat im mówił: Cóż wždy złego uczynił? A oni tem więcej krzyczeli: Ukrzyżuj go! — A Piłat chcąc ludowi dosyć uczynić, puścił im Barabbasza, a Jezusa ubiczowanego podał, aby był ukrzyżowan“ (Mar. XV — 2-15).

U Mateusza Piłat posuwa się tak daleko, że umywa ręce wobec tłumów i mówi: — „Nie winienem ja krwi tego sprawiedliwego; wy się patrzcie“. — A cały lud odpowiada: „Krew jego na nas i na syny nasze“.

Łukasz wreszcie nic nie wie o rozprawie przed sądem żydowskim i rozpoczyna opowiadanie od oskarżenia Jezusa przed Piłatem.

„I powstawszy wszystko ich mnóstwo, wiedli go do Piłata. — I poczęli nań skarżyć, mówiąc: — Tegośmy znaleźli podwracającego naród nasz i zakazującego dani dawać cesarzowi i mówiącego, że on jest Chrystusem królem. — I pytał go Piłat, mówiąc: Tyś jest król żydowski? A on odpowiedziawszy, rzekł: Ty powiadasz. — A Piłat rzekł do przedniejszych kapłanów i do rzesze: Nic nie znajduję winy w tym człowieku. — Lecz się oni silili, mówiąc: Wzrusza lud, ucząc po wszystkiej żydowskiej ziemi, począwszy od Galilei aż dotąd“. (Łuk. — XXIII — 1-5).

Łukasz prawdopodobnie najbliżej podszedł do prawdy — mówi Kautsky. — W tem opowiadaniu Jezus jest oskarżony bezpośrednio przed Piłatem o zdradę stanu — i dumnie nie wypiera się swej winy. Gdy Piłat zapytuje go, czy jest królem żydowskim, t. j. czy przewodzi Żydom w walce o niepodległość, Jezus oświadcza: Ty powiadasz.

Najmłodsza z Ewangelii, Ewangelija podług św. Jana, napisana w połowie II-go wieku, czując jak niedogodna jest tego rodzaju odpowiedź dla chrześcijan, szukających zgody z władzą rzymską, każe w tem miejscu mówić Jezusowi: „Królestwo moje nie jest z tego świata; gdyby królestwo moje z tego świata było, wždy by się bili śludzy moi, żebych nie był wydan Żydom; lecz teraz królestwo moje nie jest stąd“. (Jan XVIII — 36).

Postępowanie namiestnika rzymskiego jest bardziej niż dziwne. Oto przyprowadzają mu człowieka, oskarżonego o zdradę stanu. Oskarżony przyznaje się do przestępstwa, a przynajmniej zgola się go nie wypiera. Piłat zaś — nawet nie zapytawszy go o jego pogląd na władzę rzymską — uznaje go za niewinnego.

Ale na tem nie kończą się dziwaczne nieprawdopodobieństwa tego opowiadania. — Piłat, stwierdziwszy, że żadnej winy nie widzi w Jezusie, nie uwalnia go, lecz oddaje na ukrzyżowanie.

Jeżeli Piłat sam nie był dość przeświadczony o winie Jezusa, nie pozostawało mu nic innego, jeno odesłać go na sąd do Rzymu — jak postąpił np. prokurator rzymski Antonius Felix (r. 52 — 60), który ujawszy jednego z buntowników żydowskich, Eleazara, ode-

słał go na sąd do Rzymu, a licznych jego zwolenników kazał ukrzyżować.

Ta rola natomiast, którą Mateusz każe odgrywać Piłatowi, jest poprostu śmieszna. — Wyobraźmy sobie przedstawiciela wszechpotężnej władzy rzymskiej, nieograniczonego pana życia i śmierci wszystkich mieszkańców Jerozolimy, zwracającego się z prośbą do przygodnie zebranego zbiegowiska ulicznego, aby pozwoliło mu uwolnić oskarżonego; gdy jednak tłum nie ustępuje, Piłat uczuwa potrzebę umycia sobie rąk i oświadcza publicznie, że nie jest winien śmierci Jezusa.

I któż to nagle tak gorąco pragnie oczyścić się od podejrzenia, że winien jest śmierci jakiegoś tam półprzytomnego kaznodziei ulicznego? — Boć Piłat, jeśli niewinął Jezusa, oskarżonego o zdradę stanu, mógł tylko uważać go za nieszkodliwego marzyciela bez wpływów i znaczenia. Tak postępuje namiestnik rzymski, którego Agryppa I w liście do Filona nazywa charakterem nieustępliwym i bezwzględny, zarzucając mu „sprzedajność, nieprawne używanie przemocy, rozbójnictwo, skazywanie ludzi bez sądu i niezliczone a nieznośne okrucieństwa“.

I tego rodzaju człowiek na stanowisku wielkorządcy rzymskiego miał okazywać względy szczególne dla proletariackiego zdrajcy stanu?!

Literaci, układający Ewangelje, byli widocznie ludźmi nieznanymi praw i obyczajów rzymskich, skoro nie raziło ich nadanie namiestnikowi cesarskiemu roli tak nieprawdopodobnej; zapewne jednak czuli potrzebę dodania czegoś, co choć pozornie usprawiedliwiłoby to wszystko. Opowiadają więc, że Piłat miał zwyczaj wypuszczania Żydom na Wielkanoc jednego więźnia. Kiedy Piłat zaproponował im wypuszczenie Jezusa, odpowiedzieli wszyscy: — Nie, raczej wypuść mordercę Barabbasza!

Dziwne już jest to, że poza Ewangeljami nie znajdujemy nigdzie wzmianki o takim zwyczaju. Byłby on zresztą sprzeczny z prawem rzymskim, które nie upoważniało namiestnika do ułaskawiania przestępców. Sam przebieg uwolnienia jest także nieprawdopodobny; wszak w opowieści ewangelicznej o skazaniu lub ułaskawieniu decyduje nie jakieś ciało odpowiedzialne, lecz przygodne zbiegowisko uliczne. Tego rodzaju wypadki zdarzają się tylko podczas rewolucji, kiedy wszystkie władze są obalone i — zwykle przez czas bardzo krótki — o wszystkim decyduje ulica. Natomiast w czasach normalnego działania władz państwowych rzeczy podobne należą do zupełnych niemożliwości i trzeba chyba głów teologicznych, aby taką bajeczkę dla dzieci przyjmować i podawać za ścisły opis wypadków historycznych.

Ale na tem nie wyczerpują się sprzeczności.

Toć Jezus zgoła jeszcze nie był skazany prawnie. Piłat stał przed pytaniem: — Czy należy skazać Jezusa za zdradę stanu? — Zamiast odpowiedzi jednak sam zwraca się do tłumu z zapytaniem: — Czy chcecie w tym wypadku skorzystać ze swego prawa łaski? Zamiast ogłoszenia wyroku najwyższy sędzia praworządnego

Rzymu prosi o darowanie życia temu, kto jeszcze nie jest skazany.

Tłum jerozolimski jest nie mniej dziwaczny i nieprawdopodobny. Wszak ukrzyżowania Jezusa domaga się ten sam „lud“ jerozolimski, który jeszcze w przeddzień pozdrowiał go jako króla żydowskiego, szaty swe słał mu pod stopy i czcił go we wszelki sposób.

Aby wyobrazić sobie coś równie nieprawdopodobnego, należy przypuścić, że tłum warszawski za caratu zgromadził się na placu Zamkowym i oskarża przed generał-gubernatorem jakiegoś mówcę społeczno-niepodległościowego, którego jeszcze wczoraj otaczał czcią najwyższą. Hurko lub Skallon pyta się oskarżonego: — Ty chcesz Polski niepodległej? Oskarżony odpowiada: — Tak! Wówczas Skallon wychodzi na balkon i oznajmia: — Nie widzę winy w tym człowieku. Niezadowolony jednak z tego „lud“ warszawski wrzeszczy: — Powiesić go! Powiesić!.. Wtedy Skallon godzi się na powieszenie, lecz umywa ręce, aby nikt go o udział w tej zbrodni nie posądził.

Jeśli by nawet „lud“ jerozolimski był jakimś do cna zdemoralizowanym motłochem, to i wówczas musiałby mieć jakieś powody — słuszne czy niesłuszne — do tak nagłej zmiany poglądów. Otóż powodów takich Ewangelje zgoła nie podają i ograniczają się do ogólnikowego zaznaczenia, że kapłani żydowscy podburzyli tłum przeciw Jezusowi. Ale „lud“ jerozolimski w owym czasie bynajmniej nie był masą niezorganizowaną. W przeciwstawieniu do wszystkich innych krajów państwa Rzymskiego jerozolimska gmina żydowska posiadała niezwykle silnie rozwinięte wewnętrzne życie polityczne. Partje polityczne były tam doskonale zorganizowane i posiadały duży wpływ na masy. Najniższe warstwy ludności jerozolimskiej opanowane były całkowicie przez partję t. zw. gorliwców (zelotów), będącą stronnictwem proletariacko-niepodległościowym i propagującą najdzikszą nienawiść przeciwko wszystkiemu, co rzymskie.

Po tej parodji sądu rozpoczyna się kaźń Jezusa. Lecz któż znęca się nad nim? czy owe masy żydowskie, które domagały się jego śmierci? Nie — oprawcami są żołnierze rzymscy. Oni wkładają mu koronę cierniową, oni go biczują, plwają na niego, i wreszcie przybijają do krzyża, na którym z rozkazu Piłata piszą: Jezus Nazareński Król Żydowski. Czyżby w takim razie Piłat, nie uznający winy Jezusa, kazał swym żołnierzom, aby byli wykonawcami rozkazów tłumu żydowskiego, lub kapłanów żydowskich? Jest to coś bardziej nieprawdopodobnego od wszystkich cudów ewangelicznych. Zresztą Ewangelje o żadnym takim rozkazie nie wspominają i mówią o tem dziwacznym postępowaniu żołnierzy rzymskich, jak o czemś najnaturalniejszym.

Dla zakończenia tego opisu, który przez tyle stuleci uchodził za opis wypadków historycznych, wspomnijmy o cudach w chwili skonu Jezusowego.

„A oto zasłona kościelna rozdarła się na dwie części od wierzchu aż do dołu i ziemia zadrżała, a skały się popadały. I groby się

otworzyły a wiele ciał świętych, którzy byli posnęli, powstało. I wyszedłszy z grobu po zmartwychwstaniu jego, weszli do miasta świętego i ukazali się wielom“.

(Mat. XXVII — 50-53).

Szkoda, że czcigodni pisarze ewangeliczni nie mówią, co zmartwychwstali robili w Jerozolimie — czy pozostali przy życiu i powrócili do swych żon, domów i zajęć, czy też „ukazawszy się wielom“, grzeczniutko z powrotem pokładli się do grobów?

Ale mniejsza o cudy. Opis sądu nad Jezusem, nawet oczyszczony z cudów, jest dziwaczne nagromadzeniem dzikich nieprawdopodobieństw.

Jezus, jako pewien typ i wzorzec etyczny, jako symbol pewnej postawy zasadniczej wobec życia (a krytyką tej postawy w tej chwili nie zajmujemy się), występuje tu niezwykle plastycznie. Ewangeliczny opis sądu i męki jako skrót artystyczny pewnego sposobu zachowania się w chwilach najgroźniejszych jest poprostu arcydziełem. To jeden z tych nieporównanych rysunków symbolicznych, co kilkoma prostymi linjami umieją odtworzyć jakiś typ ludzki, czy wywołać pożądaną tonację psychiczną. Ale jak nikt nie twierdzi, że wysmukłe stylizowane postaci świętych w katedrach gotyckich są odtworzeniem typu ludzi, żyjących w średniowieczu, ani jak nikt nie powie, że hieratycznie poustawiane figury symboliczne na mozaikach bizantyjskich są fotografiami bizantyjczyków, lub że kwadratowe czy trójkątne twarze, rysowane przez futurystów współczesnych, są fotografiami żyjących w wieku XX-ym ludzi kwadratowych czy trójkątnych — podobnie opisom ewangelicznym nie można nadawać znaczenia dokumentu historycznego, świadczącego o tych wypadkach, które są w nich opowiedziane.

Ewangeliczny sąd i męka Jezusowa mówią nie o tem, co działo się w Jerozolimie, lecz o tej postawie moralnej, którą autorzy ewangeliczni chcieli propagować.

Lecz czemuż opisy te tak pełne są niekonsekwencji? skoro nie są kronikarskiem odtworzeniem prawdy, czemu autorzy naszpikowali je tylu nieprawdopodobieństwami? Skąd inąd wiemy niechybnie, że autorzy ewangeliczni bynajmniej nie byli ciemnymi nieukami, jak to niektórzy głoszą zbyt często; niemożliwe jest więc, aby sami nie odczuwali braków swego opowiadania.

Ale bo też nie byli to poeci, czy powieściopisarze, świadomie wymyślający swoje opowieści. Wydarzeń ani nazwisk wymyślać nie mogli; mogli jedynie nadawać wydarzeniom znanym odmienne znaczenie i zmieniać charakter osobistości, oznaczanych znanem imieniem.

Z tego stanowiska rozpatrywana opowieść ewangeliczna o skazaniu Jezusa wydaje się być tendencyjną, do wymagań późniejszej, międzynarodowo-rzymskiej organizacji chrześcijańskiej przystosowaną, opowieścią o nieznanym skąd inąd żydowskim działaczu proletarjacko-niepodległościowym, pochodzącym z Galilei, t.j. z gniazda niezliczonych powstań przeciw władzy rzymskiej — i noszącym bardzo rozpowszechnione między Żydami imię — Jezus.

Ów Jezus, jak wielu innych powstańców żydowskich, ukrzy-

wany był przez Rzymian. Chrześcijaństwo jednak — chrześcijaństwo wszechludzkiej ugody, międzynarodowości i lojalności wobec władzy rzymskiej, chrześcijaństwo, uważające Żydów za swych wrogów najzawziętszych, musiało podkreślić pozaświatowość Królestwa Jezusowego, a winę za ukrzyżowanie Jezusa przenieść z Rzymian na Żydów. Dlatego krwiożerczy Piłat stał się nagle barankiem niewinnym, a Żydzi jakoby sami ściągnęli klątwę na głowy swoje mówiąc: „Krew jego na nas i na dzieci nasze“.

Przynajmniej — takie przypuszczenia stawia Karol Kautsky.

Oczywiście, wszystko to razem w niczem nie umniejsza wartości tej szczególnej etyki chrześcijańskiej, której Jezus jest najdoskonalszym wyrazem — bez względu na to czy żył rzeczywiście, czy też ukształtował się jako myt w pierwotnych gminach chrześcijańskich.

Omówienie jednak tej etyki i zastanowienie się nad tem, czy dzisiaj może ona nam być jeszcze przydatna, wymaga conajmniej artykułu specjalnego.

Jan Hempel.

Giordano Bruno.

Ja, co miłości znak noszę wysoko,
 Od pragnień płonę, mróz mi ściał nadzieje,
 Jam razem lawą i lodów opoka,
 Niemy — a krzyk mój wstrząsa nieb wierzeje.

Serce skry sypie, wodą rosi oko,
 Żyję i konam, żalę się i śmieję,
 Wody wrą — pożar nie gaśnie ogniska.
 We wzroku Tetys, w sercu Wulkan błyska,

Druh innym — sobie-m wrogi,
 Lecz gdy mknę w błękit, ludzie są jak skał ociosy,
 Gdy ja się ku ziem spuszczam, ci biegną w niebiosy,
 Uciekają, gdy stęsknion wchodzę na ich drogi,
 Wołam, — ale daremno,
 A gdy szukam, tem głębiej kryją się przedemną.

Dębie leciwy, który przez powietrze,
 Ścielesz wierzchowie, w podziem ślesz korzenie,
 Ni lądów wstrząsy, ani cię nie zetrze
 Akwilon gniewny, który pierś nieb żenie.

Zwycięsko stoisz w zim lodowym wietrze,
 Na grudzie w długie skutej odrętwienie,
 Wiernyś ty obraz hardej duszy mojej,
 Co też wspank losom bez zadrgnienia stoi.

Ten sam szmat ziemi

Użyzniasz, pieścisz i tulisz w ramiona,
Po mroczne tajnie szlachtetnego łona
Korzeńmi glebie drażysz się miłemi.

Ja tak w splot ścisły

Z duchem i z myślą w zgodzie-m związał zmysły.

(Z Bohaterskich zapalów)

przełożyła **Julja Dickstein.**

O myśl wolną w Polsce.

Myśl wolna na zachodzie, w krajach dojrzałej kultury, odniosła już triumf. Francja, Anglja, Włochy, Stany Zjednoczone, bywają jeszcze niekiedy arenami utarczek między obskurantyzmem a wolnomyślicielstwem, lecz są to już jakby zagrobowe echa zduszonego fanatyzmu. Tworzą one jeno przymieszkę do walk społecznych i politycznych, rozgrywających się naogół na innem podłożu. Można powiedzieć, że dusza obywatela krajów o wyższej cywilizacji jest wolna. Rozgraniczono tam wyraźnie indywidualną sferę wierzeń od zbiorowego przymusu.

Prawda, że nacjonalizm francuski jest klerykalny, że Kościół anglikański, choć nie ma bojującego charakteru, krzewi propagandę bardzo żarliwą, że zrywający się obecnie do walki faszyzm włoski jest przepojony ultramontanizmem, że w Stanach Zjednoczonych różne sekty teologiczne odbywają połów na ludzkie sumienia, — lecz wszystko to dzieje się bez współudziału państwa, jako regulatora życia publicznego. Państwo i organy mu podległe, nie wkraczają w poufne sumienie jednostki. Laicyzacja życia zbiorowego święci u tych społeczeństw pełne zwycięstwo. Myśli wolnej nie trzyma na uwieżi ani prawo, ani już nawet obyczaj, uświęcony starym przesądem.

Oczywiście cywilizacja Zachodu doszła do tych wyników po przez długie i ciężkie walki. Niemal od początków kultury teologia i teokracja wyęzły wszystkie wysiłki, by zahamować myśl, poszukującą prawdy i torującą swobodę człowieczeństwu. Nawet w starej Grecji kapłani mścili się na filozofach za wolność wierzeń. Istnieje legenda, że Zeno z Elei, którego życie było walką za prawdę, został w moździerzu na śmierć utłuczony. Sokrates wypić musiał truciznę, ponieważ filozofja jego, acz przepojona najwyższą moralnością, wykaczała przeciw mitologicznemu fetyszyzmowi.

Kiedy w średniowieczu scholastyka chciała zmonopolizować filozofję, był to właśnie zamach na wolną naukę, by jej nie dozwolnić na wyjarznienie się z niewoli kościoła. Potem najohydniejsze pię-

no ludzkości — inkwizycja — wznosiła hekatombę ofiar krwawych w obronie zacieklego fanatyzmu. Jak dalece kościół był nieprzyjacielem praw wolności, gdy te prawa nie zgadzały się z jego panowaniem, świadczy o tem przykład jeszcze z XV w. Kościół usankcjonował handel niewolnikami chrześcijańskimi, o ile ci nie byli wyznania katolickiego. Kiedy Turcy zajęli Bizancjum, a Tatarzy Krymscy brzegi morza Czarnego, dygnitarze kościelni dozwolali muzułmanom prowadzić handel białymi niewolnikami obrządku greckiego i ormiańsko-gregoriańskiego. Po podboju Nowego świata biskup Las-Casas zalecał handel Negrami, jakoby z poczucia humanitarne-go, ponieważ handel ten uwalniał tubylców od ciężkiej pracy.

Wracając do inkwizycji, zaznaczyć jeszcze należy, że w Paryżu na czele jej stał prześwietny, uczony fakultet teologiczny Sorbony, którego opinie i postanowienia orzekały o najokrutniejszych torturach, zadawanych Hugenotom.

Te plamy krwawe władczego fanatyzmu trzeba było z życia wymazać, zanim wolność przekonani przyszła do panowania. Walkę o myśl wolną toczyły rewolucje, oraz potężne duchy bojowników w obronie prawdy i niepodległości człowieka. Sam zresztą rozwój wielkiej kultury, ewolucja nowoczesnego życia, posiew wiedzy, oświaty i postępu społecznego, dźwiganie się wzwyż ludzkości, wyzwalały ducha z więzów klerykalizmu. Miara tego wyswobodzenia się była zawsze zależna od poziomu samej kultury narodowej.

U nas długa niewola i wszystkie ujemne cechy życia pod obcym uciskiem opóźniały postęp. W niewoli zakrzepliły tępe kształty wierzeń i obyczaju. W niewoli kler katolicki był w części tarczą przeciw wynarodowieniu. W niewoli fanatyczna uległość klerowi przynosiła pewne ukojenie prześladowanym. W niewoli masy były oddalone od światła i żyły w mrokach przesądów.

Ocknęliśmy się w państwie niepodległym bez pełnej wewnętrznej dojrzałości niepodległościowej. Odstaliśmy na pokazną metę od kultury Zachodu. Chępnym się wprawdzie swoją własną historyczną cywilizacją, ale powiedzieć trzeba szczerze, że sporo w tem jest obłudy i sporo niezrozumienia nowych walorów cywilizacyjnych. Oczywiście mieliśmy w swych dziejach i wzniosłe karty pracy kulturalnej, oraz wielkie błyski i wzloty ducha. Linja ta jednak przerywała się, jak zresztą wszędzie, i jej wskazania za wzór dla teraźniejszości służyć nie mogą.

Powołujemy się na Konstytucję 3-go maja jako na wielki akt swobód i emancypacji. Zapewne, było to dzieło na czas swój wydatne. Ale co wyrzekł o niem jeden z głównych jego twórców, Kołłątaj? „Konstytucja 3-go maja... stosowała się jeszcze do przesądów“. Kiedy dziś wydaje się sąd taki o tej ustawie, uchodzi to w oczach prawomyślnych „patriotów“ za zdradę ojczyzny.

Chępnym się tem, że mieliśmy okres wolności Arjańskiej. Ale mieliśmy też okres wszechpanowania jezuityzmu. Cenzura inkwizycyjna torturowała i w Polsce autorów, uwłaczających nakazom Kościoła. Sądy i sejmy wymierzały kary, wedle tych wskazań.

Podsędek brzeski, Kazimierz Łyszczyński, był oskarżony o ateizm. Zmuszono go najpierw do odwołania rzekomych błędów, a mimo to następnie w okrutny sposób stracono. Sprawa toczyła się w sejmie r. 1688. Oskarżał wojewoda sieradzki, który wyrok tak motywował: „Łyszczyński winien trzymać pisma swe nad płomieniem stosu, ustawionego na rozstajnych drogach, dopóki się nie zwęglą, potem te płomienie żywego mają ogarnąć, popiół z uśmierconego ateusza należy wsypać do armaty i dać z niej salwę, aby cały żywiół, cała przyroda, cały wszechświat odczuł wymierzoną karę i nicość nędznika...” Ale król Jan Kazimierz, choć ortodoks zwany, miłosierniejszy był od sejmu. Zatwierdził jeno wyrok, że głowa ma być ścięta, a zwłoki na stosie spłonąć mają wraz z hereetyckimi pismami. Głowę ściętą od spalenia król raczył ułaskawić...

Jezuici, choć zakon skasowano, mieli wpływ przemożny jeszcze za Stanisława Augusta. **Jezuita Łuskiński pozyskał przywilej na „Gazetę Warszawską” w r. 1772.** I oto dziennik ten korzystał z monopoli prasowego i zagradzał drogę innym czasopismom. Tak umiarkowany pisarz, jak J. I. Kraszewski, w następujący sposób określa rolę tego dziennika:

„Nawskroś przejęty czcią i zostający w służbie jezuickiego zakonu, nieprzyjazny był wszelkim zmianom... mieścił wprawdzie żywoty świętych pańskich i opisy odpustów, bronił skasowanego zakonu, żywił zajadłą nienawiść i przeciw sejmowi... ale zarazem sprzyjał Rosji i wielbił Potemkina za to, że jezuitami się opiekował”.

Mówi się o polskiej tolerancji, która przyhołubiła Żydów, wiecznych tułaczów, dziś tak niewdzięcznie odpłacających się za gościnność. Przyjęcie Żydów do Polski było dziełem racji stanu królów, ale było też niewątpliwie przejawem braku nienawiści do „niewiernych”. Królowie opiekowali się nimi jako swoimi poddanymi. Pomijając jednak już to, że podtrzymywano w nich obcy obyczaj i fanatyczną odrębność, trzeba stwierdzić, że pożycie niezawsze było harmonijne. Gdybyśmy dziś nawet chcieli zapomnieć o aktach nienawistnego niekiedy do Żydów stosunku, nie pozwala tego przesłonić niepamięcią współczesny antysemityzm wulgarny, który historii polskiej za chlubę poczytuje, że już w dalekiej przeszłości animozja i brutalne jej wyrazy były w Polsce żywiołowemi odruchami przeciw szkodliwej tolerancji wobec żydów...

Wreszcie acz niezawsze/z własnej winy i woli — nie mogliśmy się już rządzić duchem głębszej wolności nawet w okresach, kiedy po rozbiorach powstawały własnorządne ustroje państwowe. Za Księstwa warszawskiego cenzura, której pilnował Pradt, tłumiła swobodne tchnienie słowa drukowanego, a żarliwość urzędników Polaków prześcigała intencje posła francuskiego. Gorzej było za Królestwa Kongresowego, osobliwie wówczas, gdy tropiono „tajne stowarzyszenia” wśród młodzieży. Wtedy to po raz pierwszy powstała w Polsce nowoczesna, oficjalna cenzura nad słowem drukowanym. Na czele cenzury stanął filozof, filolog, członek Towa-

rzystwa przyjaciół nauk, niegdyś liberala, radykała, teraz tępicielem nie tylko wolności politycznej, lecz i wolności ducha, Józef Kalasanta Szaniawski. Popiera go minister Grabowski. Niemcewicz, który sam przez czas jakiś był cenzorem, pisze o systemie Szaniawskiego do ks. Czartoryskiego: „Wszystko śpi pod Szaniawskiego obuchem“. A „Monitor“, przez Szaniawskiego redagowany, taką wygłasza opinię: „Waszyngton nie powinien być uważanym — jak tylko za szczęśliwego zbrodniarza i buntownika“.

Nie dziw, że wyhodowany w takich warunkach „Kurier Warszawski“ po kapitulacji Warszawy ogłosił hymn radości, karcąc zarazem występne działania rewolucji...

Epokę, w której myśl wolna mocniej zatętniała z obozu młodych buntowników ducha, przeszczepiając zasady swe na nieco szersze odłamy społeczne, był krótkotrwały okres pozytywizmu polskiego, okres powojennej młodej prasy. Pozytywizm ten miał błędy polityczne, ale do życia ideowego wnosił ważne walory. Zwalczał fanatyzm, ciemnotę i klerykalizm, bronił niepodległości opinii, pod hasłem „wiedza — to potęga“ tępił analfabetyzm kulturalny.

Kierunek narodowo-demokratyczny, który społeczeństwu narzuciła nie tylko zła sieja jego krzewicieli, ale niewola, szukająca w zachowawczym, a zarazem zaczepnym nacjonalizmie osłony interesów narodowych — kierunek ten kulturalnie znieprawiał szerokie warstwy społeczne. Wraz ze spaceniem etyki zbiorowej skażył on instynkt prawdy i wolności myśli. Stworzył dyscyplinę nietolerancji i fanatyzmu. Powołał do obrony sprawy narodowej wszystkie ciemne potęgi.

* * *

Prawo myśli wolnej jest odwiecznym prawem natury, zaprzeczone dopiero przez zazdrosnych o władzę i jej korzyści despotów, chcących rozkazywać duszy ludzkiej. W tem despotyzm hierarchji kościelnej stał się najbardziej nieugiętym. On to niewoli autonomję jednostki, powściągał postępek kultury i niepodległej moralności.

Prawo myśli wolnej nie jest zgoła fanatyzmem ateizmu, tylko negacyjną religią niewiary, nie jest zgoła propagandą walki z idealizmem. Jest prawem do poszukiwania prawdy i do wielkich triumfów światła i wiedzy.

Jakże to Einstein powiedział? „W prawdziwej wiedzy zawiera się moment etyczny. Prawda bowiem wyzwala i uszlachetnia“. A dodać można: Co prawdę tłumi, co stawia fetysze obłudzie, poniża człowieka i cofa go ku średniowieczu. W przymusie wyznaniowym jest instynkt stadny gatunku ludzkiego. Czają się też w nim dotychczas nienawiść i namiętność walki. Tylko wolny człowiek ma szacunek i miłość człowieka, ma uczucie pokoju i pokojowego rozwoju cywilizacji.

* * *

W niepodległym państwie polskim, w demokratycznej Rzeczypospolitej, którą budujemy, której zręby już powstały, lecz brak całości, musi nakoniec zwyciężyć przekonanie, że pomiędzy prawami narodu a prawami jednostki istnieje wówczas harmonia, gdy przymus wstecznego obyczaju nie trzyma na uwięzi swobody myśli i swobody wierzeń. **Nie dość wpisać to do ustawy konstytucyjnej.** Niepodległość ideowa powinna pozyskać realne rękojmie. Zdobywa się ją tylko w czujnej, bezustannej, mężnej walce z wszelką ciemnotą i fanatyzmem, wytrwałem tępieniem przesądów, uchodzących za świętości, a profanujących to, co istotnie jest świętem prawem człowieka — jego sumienie i jego wolność wewnętrzna.

St. A. K.

* * *

Hańba starym prorokom, których zwiędłe słowo
 Na wielkich gruzach dziejów sepleni na nowo,
 A mądrość, niegdy czysta, rozbija namioty
 Dla płazów błotnej roli, dla krzywd i ciemnoty,
 Hańba im za tę Polskę, która pod ich znakiem
 Miasto być gwiazdą ziemi, okrzesa robakiem.

Julja Dickstein.

* * *

Nienawiść, jak w kielichu, wzbiera w duszy mojej
 Przeciw myśli, co w ślepych wrotach czasu stoi,
 Przeciw prawdzie, co hołdy odbiera z ołtarza,
 Mrokom krucht, gdzie się Polska zmartwychwstała tarza,
 Kurz nóg tłumu zbierając rozpuszczonym włosem.

Rudym buntem, jak jadem, dusza ma nalana,
 I pogardę z mej piersi leję jak ze dzbana
 Złu, które, by gladyator zwycięski w arenie,
 Polskę nam w bezszacunek pcha i poniżenie.
 Buntem wrę, — choć dziś krzyk mój głuchej puszczy głosem.

Julja Dickstein.

Buddyzm a chrześcijaństwo.

(Dokończenie).

Te grubsze powłoki duchowe obu wielkich religij odbiegają wprawdzie w szczegółach, ale ogólne ich struktury nakrywają się doskonale. Jedna i druga chlubi się **kompletną kolekcją świętych**, której katalogi są długością swoją męczące. Obie jednak gorliwie przebierają paciorki swych **różańców**, pomocnych w odliczaniu jednak nieskończonych pacierzy. U obu bowiem wedle oceny ludu, **ilość tych pacierzy ważniejsza jest od jakości**. Wyznawcy jednej i drugiej myślą o niebie, jako o dostępnem wyłącznie dla siebie podczas gdy ci, co pochlebiają sobie, że napewno ujdą **piekiel**, wymalowują je dla drugich w barwach przynoszących jednaki zaszczyt religijnej fantazji obu. Tak w Azji, jak w Europie z jednakim, pełnym miłości zapałem składa człek pobożny drobne swe **wota** na łonie matki Kościoła. Zarówno też w Azji, jak w Europie **ofiarne grosze** wielu wspierają jej potęgę.

Za tem wszystkim stoi religja mniejszości, religja tych (jakże nielicznych na Zachodzie! — przyp. red.), którym zmysłowe ucieleśnienia nie mogą wystarczyć do zaspokojenia potrzeb nadzmysłowych, dla których Bóg jest czemś więcej niż tworem antropomorficznym, którzy pojmują wiarę nie jako spętanie jeno ciała, ale jako ekspansję duszy...

Zbyteczna zaznaczać, że jeśli chrześcijaństwo jest religją miłości, to wszakże buddyzm jest nią we wcale nie mniejszym stopniu... Połowa nauk buddyjskich idzie w kierunku zaszczepienia miłosierdzia. Nie człowiekowi wyłącznie okazywać winien człowiek serce, ale także wszelkiemu zwierzęciu. Naród zaś postępuje wedle tego, co głoszą pisma. Skutki zauważyć się dają taksamo prawie wyraźnie i na stanie zwierząt bezpośrednio i na charakterze ludzkim...

Formy obu wierzeń są sobie pokrewne o ile chodzi o stosunek do bliźnich, lecz tam gdzie odnoszą się do własnego **Ja**, są tak odległe, jak Zachód od Wschodu. Tutaj, przy tem pojęciu **Ja**, stajemy nagle na skraju zawrotnej przepaści i patrzymy w otchłań niezmierną, która oddziela buddyzm od chrześcijaństwa... By ją przekroczyć, musiałbyś wpiery pogrzebać w jej głębiach wszystko, co ci jest znane jako ty sam.

Chrześcijaństwo jest religją osobową, buddyzm nieosobową... Chrześcijaństwo każe nam iść ku doskonałości aby się po wiek wieków tym udoskonalonym sobą radować; buddyzm chce byśmy się doskonalili, aby na zawsze zbyć pęt świadomości siebie.

Chrześcijaństwo, aczkolwiek głosi, że człowiek rodzi się w złem, jest wszakże ewangelją optymizmu... **Zaczepty punkt chrześcijaństwa to „Ego“**. Nakazy, które wydaje tycza się doczesnego postępowania, uświęconego widokiem przyszłej szczęśliwości (wzgl. potępienia wiekuistego, mąk piekielnych w razie niespełnienia nakazów, — przyp. red.). Przyjmuje milcząco, iż pożądanem

jest trwanie indywidualnego bytu i przyobiecuje napewno osobistą nieśmiertelność (zapewnia, że nawet i ciało samo w mniej lub więcej duchowej postaci żyć będzie) — ku trwodze złych, ku podniesłej radości wszystkich sprawiedliwych... Przemawia z nich, (z tych nauk) owo pożądanie ekspansji poza granice skąpego okresu siedemdziesięciu lat.

Buddyzm natomiast jest rozdzierającym krzykiem pesymizmu. Żywot ten, powiada on, to jedno pasmo cierpień. Mnożyć dni, to tylko mnożyć zło. Życzenia (i pragnienia — przyp. red.), które nas przepełniają, są w istocie przyczyną wszystkich naszych boleści. Mniemamy, że one to my sami. Mylimy się wszakże, są one jeno ułudą, a my to ofiary fata morgany. Owa osobistość, owo samopoczucie jest okrutną matnią i omamieniem. Dopiero wówczas, skoro poza tem wszystkim rozpoznasz prawdziwą duszę, wolną od wszelkich własności, a więc i od cierpienia, jako nieoddzielną cząstkę wielkiej, bezosobowej duszy wszechświata, dopiero wówczas, i tylko wówczas, najdziesz szczęście w błogosławionym spokoju nirwany...

...Pożądańszym niż byt, jest zagaśnięcie indywidualnego ducha... Nadzieja rozplynięcia się w nic, był to dla Gotamy (Buddhy) dogmat taki sam, jak dla bramanów. Głosił on wszakże, że droga, którą wskazywali bramani dla osiągnięcia tego pożądanego stanu bezosobowości była błędna... **Właściwa droga leży we wnętrzu ludzkim...** Obłędem jest stosowane przez bramanów homeopatyczne leczenie grzechu. Zarzynanie ludzi i wołów (i jakakolwiekbyż inna ofiara zewnętrzna — przyp. red.) nie może duszy dawać życia. Rażąca oczy niedorzecznością jest biczowanie ciała za jego grzechy. Jedynie bowiem z pragnień i żądz rodzi się zło. (Nikt człowieka zbawić nie może, jeno on sam siebie, — przyp. red.). Słum w sobie życzenie, a uczynki zamrą same z niemocy. Człowiek sam jest wyłączną przyczyną własnej nędzy... Poza pragnieniem, poza wolą nawet stoi dusza, dusza będąca dla wszystkich ludzi jednością z duszą wszechświata. Dostąpi li człowiek tej prawdy (ale dostąpi nie powierzchowną, daleką myślą, ale głębokiem, najtajniejszym z tą prawdą życiem się integralnem — przyp. red.), wstępuje w nirwanę. Nirwana bowiem to nie rozplynięcie się indywidualnej duszy w duszy wszechrzeczy, nie jest też nirwana zupełnem zatraceniem. Jest poprostu doskonałym poznaniem (duchowem, nie intelektualnym tylko — przyp. red.) ich odwiecznej jedności, wstecz poprzez nieskończoną przeszłość, i naprzód przez przyszłość nieskończoną.

Taką jest wiara, którą przyjęli Japończycy i którą dotychczas wyznają... U takiego ludu osobowe chrześcijaństwo niewiele mogło wskórać. Przyjmują tam chętnie materialną naszą cywilizację, odrzucają wszelako nasze dogmaty. Prawić im o przedłużeniu życia, to prawić o przedłużeniu cierpień. **Chrześcijaństwu udaje się conajwyżej zrobić z nich niedowiarków w to, co leży poza życiem...**

Nie w tem leży przyczyna, że w przeciwieństwie do buddyjskich misjonarzy, którzy przybyli ongiś na zaproszenie, misjonarze

nasi zjawili się nieproszeni. Nie winien temu również jakiś brak charakteru osobistego u naszych apostołów, raczej poprostu zawiele go jest w ich nauce.

Daleki Wschód jest dziś o wiele bardziej jeszcze bezosobowy, niż ci, od których religia ta wyrosła. Indje wróciły do kultu Bramy...

Buddyzm stoi do braminizmu w takim samym mniej więcej stosunku, jak protestantyzm do rzymskiego kościoła. **Biskupi i bramani** pracują zarówno gorliwie nad zbawieniem swych owieczek poddających się ślepo fachowemu ich kierownictwu; **buddysta oraz protestant** wierzy, że zbawienie duszy można osiągnąć tylko przez własne czynne starania. Skutek jest ten, że w kwestji indywidualności oba zreformowane wyznania (to znaczy: buddyzm i protestantyzm, — przyp. red.) daleko znacznie odbiegają od siebie niż te, przeciw którym protestują (t. j. bramanizm i rzymski-katolicyzm, — przyp. red.). Bo z biegiem czasu i rozwoju osobowość stała się bardziej jeszcze osobistą, a bezosobowość bardziej nieosobową, niż były pierwotnie. Protestant, który przez czas jakiś powolnie dawał sobą kierować, zajął się oto żywo sam swoim rozwojem, buddysta po długim okresie apatii, począł nagle usilnie do nauki głoszącej ogólną illuzję dołączając starania, wykorzystujące własną odrębność... całą swoją władzę skupiać w kierunku wyrzucenia siebie samego poza obręb bytu myślowego“.

z Percivala Lovell'a.

Wyznaniowo nieprzyzwoite części ciała.

Bawiąc tego roku w Pradze czeskiej, chciałem między innemi obejrzeć słynny cmentarz żydowski i niemniej słynną synagogę, i jedno i drugie podobno z VI-go wieku, i jedno i drugie w dawniejszem **ghetto**, w dzielnicy Josephinum, stanowiącej część „Starego Miasta“ praskiego. Odkładałem to z dnia na dzień. Dopiero przed samym wyjazdem w pierwszych dniach lipca wybrałem się tam około godz. 1-ej w południe.

Przedewszystkiem chciałem widzieć cmentarz. Zgłosiłem się do odźwiernego, brudno i obszarpanie ubranego żyda, rozmawiającego po niemiecku. Powiedział mi, że w tej chwili niema nikogo w kancelarji i że powinienem przyjść powtórnie po 2-ej. Natomiast zaproponował mi obejrzenie synagogi, która od starości zapadła się

w ziemię i miała od zewnątrz wygląd istotnie bardzo starej budowli.

Zastaliśmy tam innego żyda, młodszego i czyściej wyglądającego. Pan ten, patrząc na mnie podejrzliwie, oświadczył, że za obejrzenie synagogi płaci się trzy korony czeskie. Odpowiedziałem że i owszem, chętnie zapłacę. Zdawałoby się więc, że nic już nie stało na przeszkodzie zaspokojeniu mej ciekawości. Niestety, mój rozmówca zauważył, że jestem z gołą głową i że nawet w rękę nie trzymam ani czapki, ani kapelusza. Wobec tego zawyrokował, że moje wejście do synagogi jest absolutnie niemożliwe. Ponieważ niosłem ze sobą dużą kopertę z notatkami do wykładów, więc zapytałem, czy temi papierami nie mogę nakryć głowy. Ani myśleć o tem! Trzeba się więc było wyrzec oglądania synagogi od wewnątrz. Drugi raz zaś przychodzić nie miałem ani czasu ani ochoty.

Przed laty byłem na ślubie żydowskim w bóżnicy czyli synagodze na Tłomackiem. Oprócz mnie był drugi osobnik, należący urzędowo do zbiorowiska „aryjskiego“. Znarowieni przez przesady „chrześcijańsko-europejskie“, czysto automatycznie obnażyliśmy głowy. Spozrzegł to natychmiast dozorca synagogi, zdaje się „szames“ pilnujący porządku i przestrzegania prawideł przyzwoitości konwencjonalnej. Zaczął więc gwałtownie i z oburzeniem machać na nas rękami, jakgdybyśmy popełnili jakąś rażącą nieprzyzwoitość. Trzeba więc było pośpiesznie przykryć głowy, chociaż ja przynajmniej miałem uczucie, jak gdybym wykroczył przeciw elementarnym przepisom przyzwoitości towarzyskiej. Znajdowanie się w świątyni z czapką na głowie raziło mię. No, ale na to nie było rady.

Podobnie, odwiedzając kilkanaście lat temu meczet czyli dzamię w Sofji, stolicy Bułgarii, musiałem, wraz z innymi współtowarzyszami nie muzułmanami płci obojej, stać w czapce podczas całego nabożeństwa. Za to nie potrzebowaliśmy zdejmować butów, gdyż nas, jako niewiernych, umieszczono z tyłu na osobnej desce, oddzielającej nas od podłogi, gdy tymczasem modlący się wierni, zrzucali najprzód obuwie a dopiero potem ustawiali się w szeregu przed ołtarzem, klękali, przysiadali na piętach „po turecku“ i zanosili gorące modły, śpiewając w wysokich i minorowych tonach.

Oczywiście zwyczaj nakrywania głowy podczas obcowania z Bogiem w świątyni, a nawet poza świątynią w ciągu całego życia, zwyczaj, obowiązujący wszystkich wyznawców religji semickich, prawdziwie monoteistycznych, ma swe objaśnienie i uzasadnienie

historyczne. Ale na dobrą sprawę powinienby obowiązywać tylko wiernych, a więc prawdziwych izraelitów i prawdziwych mahometan. Od przestrzegania tego zwyczaju powinni być chyba wolni „goje“ i „giaury“. Jeżeli jednak zmusza się także gojów i giaurów do nakrywania głów przeznaczonemi do tego częściami ubrania, kapeluszeniami, czapkami, biletami, krymkami, jarmułkami i t. p., to chyba tylko dla tego, że uważa się głowę za nieprzyzwoitą czy też wstydliwą część ciała.

Istotnie głowa może być zaliczoną do nieprzyzwoitych części ciała. W głowie rodzi się wszelka sromota, z głowy wychodzą bluźnierstwa, „obrazy boskie“ oraz inne plugastwa. W głowie powstają myśli zuchwałe i naruszające spokój prawowiernych owieczek, prawowiernych kłapouchów. Z głowy strzelają wydzieliny buntownicze, nie pozwalające możnym tego świata używać życia w całej pełni i rozkoszować się słodką drzemką zapatrzonych w siebie władców i megalomanów. Nic więc naturalniejszego, jak przykrywanie takiej nieprzyzwoitej części ciała, o wiele nieprzyzwoitszej od niższopiętrowych okolic, uważanych w prostocie ducha za nieprzyzwoite.

W zastosowaniu do kobiet głowa staje się nieprzyzwoitością nie tylko od góry, ale także od przodu, a nawet głównie od przodu. Dlatego to prawowierna muzułmanka musi chodzić zakwiefiona i gęsto zawoalowana. Wolno jej co najwyżej spoglądać przez otwory lub szpary w zasłonie, ale jest surowo zakazane wszelkie odsłanianie twarzy.

Objasnia się to w sposób prosty i naturalny. Tylko mężczyzna jest człowiekiem i posiada duszę nieśmiertelną. Dla uprzyjemnienia życia mężczyźnie istnieją na ziemi kobiety śmiertelne i bez duszy, a w raju Mahometa huryski i odaliski. Te ostatnie, jako hetery niebiańskie, służą jedynie dla rozkoszy; tamte zaś, niewolnice ziemskie oprócz tej roli uprzyjemniania życia i zaspakajania żądz panów świata tego, uważane są za narzędzia do rodzenia dzieci. Bez nich nie byłoby ani nieśmiertelnych panów, ani śmiertelnych niewolnic. Bez nich Abraham nie spłodziłby Izaaka, Izaak nie spłodziłby Jakóba i t. d., a nawet bez nich nie byłoby Zbawiciela Świata.

Niewolnica należy całkowicie do swego pana i jest jego zabawką. Tylko on ma prawo oglądać jej twarz i korzystać z jej ciała. Twarz, odkryta w obecności innych mężczyzn, może się stać kusicielką i wzbudzać żądze niedozwolone.

W oczach władcy i pana nieograniczonego główną, centralną częścią ciała kobiecego są części rozrodcze i, jako takie, wstydlive. Twarz to tylko ich dalszy ciąg i dodatek. Twarz może wzbudzać żądze; więc jest wstydliwą; a jako taka, powinna być zasłoniętą.

Traktowanie kobiet po muzułmańsku nie jest wyłącznie muzułmańskie. Tak samo je traktuje znaczna ilość „inteligentnych“ i „nieinteligentnych“ „chrześcijan“ i Europejczyków. Tylko że muzułmanie robią to szczerze i otwarcie, a chrześcijanie i Europejczycy bawią się w obłudę i galanterję.

Podobnie też ma się rzecz z poligamią czyli wielożeństwem. Muzułmanie uprawiają je prawnie i otwarcie, chociaż, wobec ciężkich warunków życia, tylko wybrańcy mogą sobie na to pozwolić, ogromna zaś większość musi się ograniczać jedną połowicą. „Chrześcijanie“, nibyto wyznawcy monogamji, uprawiają faktycznie poligamię według utajonej zasady, że każdy mężczyzna ma prawo do wszystkich bez wyjątku kobiet, o ile się nadarzy sposobność i o ile można sobie na to pozwalać bez niebezpieczeństwa dla własnej osoby.

A teraz pytanie:

Czy twarze myślicielek, wynalazczyń, poetek, artystek, zasłużonych obywaterek, męczenniczek w imię ludzkości, w imię nauki, w imię ideałów narodowych i wszechludzkich, twarze choćby tylko najwykleszych studentek, pracownic na polu społecznym i t. p. twarze naszych najwykleszych matek, siostr i córek mogłyby być traktowane jako części ciała, ze względu na swą nieprzyzwoitość nadające się do zakrywania i zasłaniania?

Odpowiedź na to dają choćby tylko postępowe kobiety muzułmańskie. I one pozwoliły sobie odsłonić „nieprzyzwoitą część ciała“ i spoglądają w oczy swym byłym władcom śmiało i z poczuciem godności.

J. Baudouin de Courtenay.

* * *

Kto ma prawdę po swojej stronie, jest głupcem, zarówno jak i tchórzem, jeśli się boi wyznać ją z powodu wielkiej mnogości zdań innych ludzi. Bez wątpienia trudno jest człowiekowi powiedzieć: cały świat się myli z wyjątkiem mnie. Lecz, jeśli w rzeczywistości cały świat się myli, cóż on może na to poradzić?

Daniel de Foe (autor „Robinsona Kruzoego“).

Niedociągnięcia.

ZNAKKKOMITY PRELEGENT.

Niesmaczne to reklamiarstwo, gdy ktoś w ogłoszeniach o prywatnych swych odczytach nazywa siebie stale „**znakomitym prelegentem**“. Podwójnie niesmaczne, gdy ten ktoś nie jest bynajmniej **znakomity**, ani u nas ani gdzieindziej, przeciwnie, jest takim sobie człeczkiem, o którym nikt zgoła nie wie, bowiem ten człeczek nigdzie się niczem dotąd nie odznaczył.

Ach! przepraszam: odznacza się właśnie p. **Eugenjusz Chlebowski** niezwykłą czelnością głoszenia się od lat paru „**znakomitym**“ i „**profesorem**“, acz żadną pracą naukową jak dotąd nie zgrzeszył (pytałem o to kilkudziesięciu przyrodników!), ani przez żaden Uniwersytet na żadną, bodajby zastępczą profesurę powołany nie był.

Ach! znowu przepraszam: został p. Eugenjusz Chlebowski przed niedawnym czasem mianowany profesorem przez zarząd głośnego na księżycu (a bodaj i na Marsie!), „uniwersytetu żeńskiego“ księdza Oraczewskiego, który ponoć od władz księżycowych i Marsowych uzyskał dyktatorskie prawo powoływania na wysokie i najwyższe tego „Uniwersytetu“ (hm! hm!) katedry.

Długo przyrodnicy polscy biedzili się nad odszukaniem śladu bodaj prac naukowych „**znakomitego**“ **prelegenta**. Aż nareszcie uczniaczek pewien prowincjonalny z oburzeniem najwyższym przywiózł mi jego „dzieło“ p. t. **Współczesny stan teorii ewolucji i darwinizmu. Nauka o życiu istot organicznych**, (patrz go! patrz go!), wydane w roku pańskim 1920 w mieście Łukowie, w drukarni wydziału powiatowego. (Pierwszy to raz bodaj wydziały powiatowe drukują dzieła przyrodnicze!).

Broszureczka formatu kieszonkowego o 54 stronach.

Rzecz nie w rozmiarach jednak: Piotr Curie w notatkach kilkunastu odczytów ogłaszał rzeczy wiekopomne, przekształcające z gruntu całą wiedzę przyrodniczą.

B e n e! mówię sobie w duchu (a wiadomo, że duch najłacniej łaciną się posługuje): bądź jak bądź, to s c r i b a przyrodniczy.

I co za s c r i b a! co za **znakomity** pisarz polski! Prócz przedłożenia broszurki zbytlicznym, nagromadzonym jak wieża Babel, bez objaśnień, bez orzeczeń, nawalem słów żargonu przyrodniczego grecko-łacińskiego, nie szczędzi nam i terminów niemieckich, jak Prävalenzregel, Spaltungsregel (str. 19), mimo że odnośne terminy mendelistyczne zdawna są spolszczone przez zastęp naszych genetyków; — smać przekonany jest **znakomity prelegent**, iż każdy polak, a przynajmniej każdy obywatel powiatu Łukowskiego snadniej niemieckie regle, niżli polskie zasady zrozumieć zdoła.

Mniejsza! aliści sam język polski broszurki — paluszki, powiadam wam, lizać! Same **pryncypy** (30) miast zasad, **faktory** (33) miast czynników, **rośnięcie** (7) miast wzrostu, pojęcia **powtórne** (24) miast wtórnych, *) **kopczykowa część kręgosłupa** (29), he? — oświećcie mię, koleddy anatomowie! — **teorje stałości** (45) miast ciągłości plazmy zarodkowej, **wypadek** (33) miast przypadek (jako czynnik ewolucji darwinistycznej) i t. d. i t. d. bez liku.

Jakżeż precudownie mówić winien **znakomity prelegent**, skoro tak pisze!

Mniejsza! w nauce treść waży, nie mowa. A treść istotnie zadziwiająca. Dla biologów rewelacja za rewelacją.

Już na pierwszej zaraz stronie (3-iej według numeracji drukarskiej) dowiadujemy się, że **śmierć** komórki polega na **wysychaniu plazmy** (sic!), że „bakterji“ w odróżnieniu od całkowitych komórek „brak chromatofor“ (sic!); a na dalszych stronach: że „dziedziczność polega na zjawisku amfiksy (15 — sic! — co to „amfiksa“, koleddy?!), że „**teorja mutacyi polega na konstatacyi** (sic!) niezmiernych i nagłych zmian“ (37), że plankton to organizmy żyjące na powierzchni morza (4) — i tylko, że alweole plazmy według Bütschli'ego są „**napelnione gazami**“ (sic! — 5), że ksiądz Erich Wassmann, Socjetatis Jezu, „dziś najważniejszą gra rolę w całej sprawie teorji ewolucji“ i imię jego „ściśle już z tą teorją jest związane“ (17) *)

A oto coś ekstra, coś **standard** — jak mówią nasi przyjaciele (hm!) z Albionu — już nie dla biologów, lecz dla fizyków: „Odkrycie radu np. dało takie fakta, o których nikt nie mógł przedtem myśleć, jak: **przejście... miedzi w litium**, którego dokonał William Ramsay w 1907 r.“ (str. 28). Słyszycie, fizycy!? Znakomity prelegent śnać nic od 1907 r. nie czytał i nie słyszał o radiologii, skoro w roku pańskim 1920 posiłkuje się **jako faktem** przypadkowym błędem analitycznym znakomitego fizyka, błędem oddawna przezeń odwołanym, zaś przez wszystkich zapomnianym.

I śmie jeszcze taki uczony „profesor“ wytykać nieuctwo istotnym, acz nieraz zapewne błędzającym uczonym europejskim, zaś Ernesta Renana nazywać lekceważąco „dyletantem“ (11).

Zresztą, cała broszurka znakomitego prelegenta jest tylko niedolnym, spaczonym streszczeniem książki wyż wzmiankowanego

*) „Pojęcie ewolucji jest czemś powtórnem“ (24) — he, he! rozumiesz obywatelu z Łukowa? A może miało być, że pojęcie ewolucji jest czemś powtórnem?

*) Ależ, oczywista! Lamarck, Spencer, Darwin — i całe świetne plejady ich następców i ich krytyków — nic nie wazą w sprawie teorji ewolucji. Wszystko zrobił ksiądz Erich Wassmann, jezuita! Czujecie już z zapaszku, do czego broszurka zmierza?!

księdza E. Wassmanna p. t. „Moderne Biologie und Entwicklungsre“ i jest niesmaczną tegoż księdza apoteozą. *)

Posiłkując się udaną erudycją, zaproszyć stara się oczy czytelnikowi wymienianiem na każdej stronie dziesiątków dzieł, których autor nie czytał, **) i setek nazwisk, których zasług autor nie zna. Te litanje nazwisk są poprostu śmieszne: na str. 7—8 naliczyłem ich ze czterdzieści, tyleż na str. 15, 17—18, 33, 34, 35 i t. d. i t. d. I to wszystko nazwiska nagie — *n o m i n a n u d a!*—bez wzmiankowania nawet, co zacz znaczą? co wnoszą?

Boże! jak wytrzeszczać oczy musiał poczciwy obywatel powiatu Łukowskiego! jak skrobał się biedaczysko za uchem od tej ociemniającej i ogłuszającej powodzi!

Jakiż cel był tej broszurki? Dociec nietrudno. Apoteoza księdza Wassmanna, jezuita, dlatego właśnie, że jest jezuita, i to jezuita uczonym i wojującym fanatycznie; „**ks. Wassmann bowiem tłomaczy wszystko przez Boga**“ (str. 38). Dlatego, by zakonkludować twierdzeniem, że „wedle racjonalnej psychologii dusza ludzka... może być tylko stworzoną. Wobec tego cały człowiek nie może pochodzić od zwierząt drogą ewolucji“ (41). (Rozumiecie? część człowieka pochodzić ma od zwierząt, część zaś wprost od Boga!) Dlatego wreszcie, by „dzieło“ (hm!) o współczesnym stanie teorii ewolucji i darwinizmu zakończyć zdaniem: „Więc widzimy, że nie nauka stawia Biblii pytania, ale Biblia nauce“ (54).

Pisała przed sześćdziesięciu z górą laty mądra erudytka polska, Eleonora Ziemięcka: „Pozostała jeszcze ważna praca dla umysłów myślących, wielkie dzieło **podniesienia zasad wiedzy ludzkiej do wysokości prawd objawionych**“ uświęcenia nauk poglądem chrześcijańskim“. (Zarysy filozofii katolickiej, 1857).

Odwieczna to, i w swojej sferze wzniosła dążność ludzi wierzących. Odwieczna to pretensja kościołów, i kościoła rzymskiego przede wszystkim. Wątpię wszelako, by tacy „znakomici“ profesorowie, jak Eugenjusz Chlebowski, by takie „dzieła“ jak jego broszura, były tej sprawy posunięciem naprzód. Czy nie niedźwiedzia to raczej przysługa?

Romuald Minkiewicz.

*) Erich Wassmann jest niewątpliwie pierwszorzędnym badaczem mrówek i społeczeństw mrówczych, i dowcipnym świetnym w swym augustyńskim zapale polemista.

**) Nie czytał i wszystko cytuje według tej właśnie książki księdza Wassmanna. Dlatego gatunek nazywa rodzajem. Dlatego na pierwszej już stronie (3) przytacza tytuł francuskiego dzieła po niemiecku (mianowicie zmarłego paryskiego uczonego M. Duvala, jako „Lehrbuch d. Histologie“! Dlatego belgijskiego uczonego van Benedena stale nazywa *von* i t. d. I to po zniszczeniu Belgji przez niemców i po owej haniebnej pamięci odezwie 93 niemieckich profesorów!

WRACANIE Z POWROTEM.

Mowa ludzka jest ponoć najwybitniejszym wyrazem intelektu. Zaś gdzież szukać intelektu jak nie u inteligencji? więc gdzież, jak nie u inteligencji, szukać mowy rozumnej, rozróżniającej pojęcia słowne i używającej ich w znaczeniu właściwym i we właściwym zastosowaniu. Niestety! daleka od tego inteligencja polska. Proszę nie myśleć, że chodzi mi o wyrazy greckie, łacińskie, wogóle obce, z rdzenia naszego nie wyrastające, o źródłosłowie, większości polskiej nieznanym, nieodczuwanym. Nie! dokuczył mi „fałszywy“ a „błędny“ (patrz Nr. poprzedni). Znęca się nad uchem mojem „wracanie z powrotem“. Powrót z powrotem! jakież to miłe, jakie inteligentne! Czyż możecie, moi najmilejsi, powrócić bez powrotu? czyż wyobrażacie sobie powrót bez powracania? I dla czegoż nie spieszycie z pośpiechem? nie cieszycie się z uciechą? i t .d. Zdarza się wprawdzie konieczność podkreślenia czynności przez użycie rzeczownika o tymże pierwiastku, ale to wypadek specjalny, w poezji najczęściej zachodzący. Tak, w „Skalce“ Wyspiańskiego mówi Śmierć do Biskupa:

„Prawda twa
we śmierci jeno wiecznie trwa:
gdy żywi życiem poczną żyć,
z żywymi ty nie możesz być“.

Pleonazmy nieuzasadnione, niepotrzebne, nieinteligentnie używane zamulają tylko mowę.

R. M.

Ze spraw bieżących.

WYBORY.

Będąc stowarzyszeniem apolitycznym, tak z natury rzeczy jak z powodu różnolitego składu członków, rekrutujących się z najrozmaitszych sfer społecznych i obozów politycznych, nie możemy brać — jako stowarzyszenie — żadnego udziału w akcji wyborczej do ciał parlamentarnych. Każdy wolnomyśliciel głosuje (i agituje za daniem głosów, gdy czuje potrzebę tego) na listę, której reprezentanci najbardziej jego poglądom politycznym, jego stanowisku społecznemu, jego interesom ekonomicznym odpowiadają. **Z jednym wszelako koniecznym i nieprzekraczalnym ograniczeniem: wolnomyśliciel nie może głosować na tych, którzy Myśli Wolnej**

wypowiedzieli wojnę. Myśl Wolna, jako ruch przedewszystkiem etyczny, takiego czynu tolerować nie może. Pozostawiamy t. zw. chrześcijańskim stronnictwom kłamanie, każdym czynem i postępkim, podstawowym założeniem idei chrześcijańskiej. Wolnomyśliciele zasady Myśli Wolnej trzymać się muszą, lub... przestają być wolnomyślicielami. Głosować mogą więc tylko na tych, którzy bronić będą Myśli Wolnej z trybun parlamentarnych lub przynajmniej zachowywać się wobec niej neutralnie.

Do członków Stow. Wolnomyślicieli Polskich
mieszkających poza Warszawą.

OBYWATELE!

Zwracamy waszą uwagę, że wkrótce odbędzie się doroczny Zjazd Stow. W. P., w którym zgodnie z § 29 naszej ustawy, biorą udział delegaci wszystkich Kół Stowarzyszenia.

Wobec tego wzywamy was do jaknajszybszego załatwienia formalności, potrzebnych do legalizacji Kół prowincjonalnych. Wystarczy, aby w jakiejś miejscowości conajmniej 5 osób stwierdziło na piśmie chęć założenia Koła; pismo to, z podaniem możliwie szczegółowych informacji o podpisanych, należy przesać do Zarządu Stow., poczem Zarząd upoważnia wskazaną w liście osobę do założenia oddziału. Pozatem żadnych innych formalności niema, prócz listownego zawiadomienia władz miejscowych (starostwa i województwa) o powstaniu oddziału.

W początku roku przyszłego odbędzie się w Warszawie Międzynarodowy Zjazd Wolnomyślicieli. Musimy pokazać delegatom, którzy zjadą się z całej Europy, by wspólnie z nami radzić o najlepszych sposobach walki o swobodę myśli i przekonań, że wolnomyślicielstwo polskie jest silne nie tylko duchem, ale i liczbą, i że kraj nasz, chociaż od wielu lat gnębiony przez czarną międzynarodówkę, chociaż duszony przez klerykalizm chrześcijański i żydowski, ma jednak sporą garść światłych obywateli, którzy gotowi są do ostatniego tchu walczyć o najpierwsze przyrodzone prawo człowieka: wolność sumienia i przekonań osobistych.

W KOŚCIELE EWANGELICKIM.

Coś się psuje w państwie Duńskim... to jest, w kościele ewangelickim. Dotychczas było jedno stado i jeden pasterz, teraz owieczki coś się burzą przeciwko pasterzowi.

Łódź żąda oddzielenia Kościoła od Państwa i zarzuca zborowi Warszawskiemu arystokracyzm i hurra-patrijotyzm, a Warszawa zarzuca Łódzkiem niemcom-protestantom hakatyzm i przebąkuję o konieczności utworzenia oddzielnego Polskiego Kościoła Ewangelickiego.

Nie naszą jest rzeczą osądzać, kto ma rację, a kto jej nie ma. Nam wystarcza stwierdzenie faktu, że pierwszy powiew swobody wywołuje wstrząśnienia w najtrwalszych, zdawałoby się, gmachach hierarchii i ferment życia, dławionego dotychczas przemożną siłą autorytetu państwowego.

Hakatyzm zaś łódzki jest równie nam niemiły i społecznie szkodliwy, jak quasi - patrijotyzm warszawski, polegający na trzymaniu się oburącz polskiego mieszka państwowego, który miałby, doprawdy, ważniejsze zadania, niż podpieranie chwiejących się kościołów wszelkich wyznań.

J. L.

ZE STOSUNKÓW PÓŁNOCNO-AMERYKAŃSKICH.

(według tygodnika „The Truth Seeker“ „Poszukiwacz prawdy“).

Dr. R. C. Spangler, profesor botaniki uniwersytetu w Morgantown, (stan Zach. Wirginji, Ameryka Półn.), wykładał słuchaczom swoim teorię ewolucji, niezgodną z zasadami biblij. Oburzyło to niesłuchanie Komisję Kontrolującą tegoż stanu, w której rękach znajduje się zarząd finansami uniwersytetu. Niektórzy z członków tej Komisji zażądali, by dr. Spangler podał się do dymisji. Oto, jak jeden z nich, niejaki J. S. Darst, motywował to żądanie:

„Zdaje się, że jest wielka różnica zdań między dr. Spanglerem a Wszchemocnym Bogiem co do tego, jak Bóg stworzył człowieka.

„Pierwszy rozdział Genesis mówi nam o tem wszystko. Dr. Spangler nie może nic do tego dodać, ani też nic ująć. On nie ma racji. Bóg ma rację. Ja sędzę, że wykłady dr. Spanglera są obelgą dla Boga i ludzi, i są przeciwieństwem Bożego słowa, podanego nam w piśmie Świętem; zatruwają umysły naszych dzieci, i doprowadzą naszą młodzież do zwątpienia o Biblii.

„Poco ojciec i matka mają się starać wpoić dziecku wiarę, że słowo Boże jest prawdziwe, i że Biblia jest słowem Bożem, tak jak jest napisana, jeśli, gdy dochodzi do wieku młodzieńczego, posyłamy je do szkoły, gdzie się uczy, że Bóg nie stworzył go dzieckiem, jakim jest, lecz stworzył je robakiem, rybą, jaszczurką i t. p., co napełnia młody umysł niewiarą i czyni go karłem i kaleką na całe życie?“

Nie wiem, czy Komisja Kontrolująca podzieli zdanie swego bogobojnego członka, i czy zmusi zuchwałego profesora do podania się do dymisji. Sam fakt jednak podobnego wystąpienia jest ciekawym przyczynkiem do historii walki z nauką, prowadzonej od tysiącleci przez kościoły wszelkich wyznań i autoramentów.

* * *

Jeśli tak pozwala sobie w Ameryce traktować naukę zwyczajny laik, to nie można się dziwić, że ksiądz, jako przysięgły obrońca wiary, w rozważaniach swoich pogardzi już nie wiedzą, lecz zwyczajną logiką. Oto wielebny dr. D. J. Burrel, pastor ewangelicko-reformowanego kolejalnego kościoła w New-Yorku ogłasza w piśmie „New-York Sun“ szereg pytań i odpowiedzi, z których kilka podajemy poniżej, jako próbki „religijnego dowodzenia“:

P. Czy wierzysz w dosłowne, mechaniczne natchnienie Pisma Świętego?

O. Mechaniczne — nie; dosłowne — tak. To znaczy, że Pismo święte jest dosłownie prawdziwe i wiarogodne. **Jak mogłoby być inaczej, skoro Pismo twierdzi samo, że zostało napisane przez świętych ludzi, natchnionych przez Ducha Świętego?**

P. Czy wierzysz, że Ewa została stworzona z żebra Adama?

O. Nie jest trudniejsze przyjęcie opowiadania o stworzeniu Ewy z żebra Adama, niż opowiadanie o stworzeniu Adama z prochu ziemi, a każde z tych opowiadań ma znacznie jaśniejsze podstawy, niż hipoteza Darwina.

P. Czy wierzysz w pomieszanie języków przy budowaniu wieży Babel?

O. Wielość języków jest faktem niewątpliwym, i sędzę, że ludzie uczeni ogólnie zgadzają się z tem, że wobec tego, iż opowiadanie biblijne zostało przyjęte przez kilkaset milionów szanowanych ludzi, nie może ono być racjonalnie usunięte, dopóki fakt ten nie zostanie wytłumaczony w inny sposób.

P. Czy wierzysz, że Jonasz został połknięty przez wieloryba?

O. Dlaczego nie? Pismo tak mówi; **a ja nie znam nic, co by temu przeczyło.** (Nawet ustrój gardła wieloryba, które jedynie drobnouchne raczki przelknąć zdolne??).

P. Czy wierzysz w niepokalane poczęcie?

O. Gdybym nie wierzył, w tej chwili przestałbym głosić słowo Boże. „Uczciwy człowiek jest najszlachetniejszym dziełem Boga“.

P. Czy wierzysz w cielesne zmartwychwstanie Chrystusa?

O. Jeśli możesz myśleć o jakimkolwiek innym „zmartwychwstaniu“, niż zmartwychwstaniu ciała, daj mi znać o tem. Coś wyszło z grobu, co to było?

I tak dalej, przez kilka stron. Ksiądz pastor doktor w identycznie logiczny sposób dowodzi, że niebo i piekło są to miejscowości faktyczne, a djabeł jest osobistością realną.

Jeśli taki jest poziom umysłowy pasterza, to cóż można pomyśleć o inteligencji owieczek jego?

I. L.

STATYSTYKA KREMATORJÓW W NIEMCZECH.

W ostatnim biuletynie wszechniemieckiego **Stowarzyszenia Wolnomyślicieli dla palenia zwłok** (Verein der Freidenker für Feuerbestattung), z siedzibą główną w Berlinie, znajdujemy ciekawe dane o szybkim wzroście liczby zwolenników tego jedynie bodaj logicznego sposobu usuwania z powierzchni ziemi ciał zmarłych bez szkody i niebezpieczeństwa dla pozostałych na ziemi żyjących.

Stowarzyszenie to powstało w roku 1905 i dziś posiada i prowadzi 56 krematorjów w rozmaitych miastach i miasteczkach Niemiec. Berlin sam ma aż trzy krematorja. Spalono w nich w ciągu drugiego kwartału roku 1921 (kwiecień, maj, czerwiec) — 4651 ciał, w tym że okresie roku 1922 — 6638 ciał.

W tej ostatniej liczbie było 3552 mężczyzn i 3086 kobiet. Według wyznania: 5349 ewangelików, 304 katolików, 23 starokatolików, 134 żydów, 828 bezwyznaniowców i dysydentów. W 5079 wypadkach (76,5% całej liczby) odbywały się w krematorjach uroczystości pogrzebowe kościelne.

W pierwszym półroczu roku 1922 spalono ogółem 13812 ciał, wobec 9453 w tymże okresie 1921 r. Od czasu zbudowania pierwszego krematorium spalono w Niemczech 185.721 ciał.

Cyfry, doprawdy, imponujące!

MORDERCY Z KRZYŻEM CHRYSZTUSOWYM!

W zeszłym miesiącu w miasteczku Gravina, we Włoszech, odbyła się z inicjatywy miejscowego oddziału faszystów, uroczysta procesja, nazwana „pokutniczą“.

„Corriere della Sera“ opowiada, że „oddziały faszystów, piesze i konne, w bojowym porządku, w czarnych koszulach, słuchały mszy, że był tam wielki napływ wiernych i różnych delegacji, i że obrazy świętych były noszone przez mieszczan, krzyż zaś — przez „czarne koszule“. W ten oto uroczysty sposób kościół katolicki błagał Boga o łaskę i pomoc dla morderców, pławiących się we krwi swoich współbraci i współwyznawców — li tylko z powodu różnicy przekonań społecznych lub politycznych, a krzyż, ten wzniosły symbol miłości i samozaparcia się Chrystusowego stał się jeszcze raz sztandarem ucisku i pohańbienia w rękach niegodnych sług wielkiego obrońcy małuczkich i pognębionych.

J. L.

Dnia 13 października r. b. upłynęła 13-ta rocznica śmierci Franciszka Ferrera. Tej ofierze walki z kościołem Rzymskim poświęcimy więcej miejsca w numerze następnym.

* * *

W sprawie „Zwierciadła chamstwa“. Dla braku miejsca w tym numerze, artykuł kol. J. Baudouina pod powyższym tytułem wyjdzie w numerze następnym (listopadowym, Nr. 7).

TRYUMF.

Scherzo*) w czterech aktach.

(Fragment).

(Osoby: BOGDAN OGNISKI — MARJA, żona jego — BRONISŁAW, brat Marji — KOZIOŁKIEWICZ, krytyk naczelny — RZYCKI, powszechnie czczony Nestor pisarzy polskich — MIERNOCKI, najpoczytniejszy powieściopisarz — BAZGRALSKI, recenzent teatralny i lubiany komedjopisarz — Baron SCHAFFENDORF, sławny powieściopisarz — PROSIAKIEWICZ, redaktor pism wielu, więc i arbiter wielu konkursów — GŁUPOWIŃSKI, rymotwórca i redaktor miesięcznika literackiego p. t. „Echa piramid“ — RENTOWICZ, kierownik postępowej gazety — DRUMLA, taki swojski, nasz kochany poeta — WSTRETNER, OKPISZ, księgarze-wydawcy, właściciele firmy — CZYSTOPOLSKI, patentowany wydawca młodych — TURCUŃ, dziennikarz en chef — GUZIK, reporter).

Akt I: ZMOWA.

KOZIOŁKIEWICZ. — Zaprosiłem panów nieco wcześniej, sprawa bowiem jest tak wielkiej wagi, że nie zdecydowałbym się wnieść ją na zebranie dzisiejsze bez uprzedniego porozumienia się z wami.

*) Scherzo to stanowi trzecią część (więc prawe skrzydło) tryptyku dramatycznego p. t. **Szczyty a padół**, którego część osiową (II) tworzy tra-

GŁOSY: Dziękujemy... Dziękujemy! Oczywiście.

KOZIOŁKIEWICZ. — Rad jestem, żeście stawili się panowie punktualnie wszyscy (obwiodł okiem) ...do diabła! a gdzie Dłubalski?

TURCUŃ. — No, ten jak zawsze! swoją akademicką godzinę (wycedził).

KOZIOŁKIEWICZ. — A niech go piorun trzaśnie! nie mamy chwili do stracenia: zaraz nadejdą.

BARON SCHAFFENDORF. — Czyż bez niego nie możesz?

KOZIOŁKIEWICZ. — Ba! obawiam się właśnie, by nie brózdził z tą swoją uczciwością manjaka.

BARON SCHAFFENDORF (niecierpliwie): Ach! bête que celui-là!

PROSIAKIEWICZ (z uśmiechem) — Poczciwiec!

DRUMLA (z widoczną złością). — Ciemiega!

KOZIOŁKIEWICZ (spojrzawszy na zegarek). — No, nie mam więcej czasu na czekanie!

GŁOSY: — Nie czekajmy! — Zaczynaj!

KOZIOŁKIEWICZ. — Djabli wiedzą (zastanawia się), może to i lepiej, że niema tego... bałwana! przepraszam, profesora.

DRUMLA. — To jedno.

MIERNOCKI. — No, no, proszę cię!

TURCUŃ (ściąga lekceważąco ramionami). — En famille?

GUZIK (nieśmiało). — Samiśmy swoi...

(Zmierza go górnym spojrzeniem Miernocki, Drumla i Bazgralski. Rzycki wciąż jeszcze, nieskończenie już długo przeciera chustką okulary).

KOZIOŁKIEWICZ. — Tak, to lepiej, lepiej.

RZYCKI. — A widzisz, kochany! i tu nawet, tego ten, palec Opatrzności.

KOZIOŁKIEWICZ. — Lepiej, lepiej! pójdzie z nami w dobrej wierze.

WSZYSCY: — Ale co jest? — Co takiego? — Co się stało?

RZYCKI. — Może wreszcie, panie tego...

PROSIAKIEWICZ. — Zaczynaj!

gedja „Sercana“, zaś część pierwszą (skrzydło lewe) dramat „Nim słońce wzejdzie“.

Scherzo — żart. Że jednak trudno jest, pisząc o stosunkach literacko-społecznych nie pisać satyry, nie drwić boleśnie z własnego serca, — żart to satyryczny, bólem pojony. Nie inne są zresztą (w odmiennej dziedzinie twórczości) scherza Chopinowskie.

R. M.

(Koziołkiewicz przybrał uroczystą minę, wysunął szufladkę biurka, wyjął dwa duże rękopisy i, wzniosłszy je w górę, zawołał głosem anonsującym nieszczęście).

KOZIOŁKIEWICZ. — Panowie! genjusz!!

(Jakby trząsał piorun w zebranych, stanęli rażeni).

MIERNOCKI, DRUMLA, BAZGRALSKI. — Genjusz?! (jęknęli zgodnie). Znowu... znowu? (szepotali zwiesiwszy głowy).

RZYCKI (patrzac z poza złotych okularów niedowierzajaco na Koziołkiewicza, z uśmiechem pobłażliwym). — Już, tego, genjusz?...

KOZIOŁKIEWICZ. — Niestety! tak jest. Nagle, niespodziewanie, nieprzewidzianie, jak piorun z jasnego nieba. Tu oto (potrząsał z grozą rękopisami), treść, forma, obrazy, muzyka wiersza, myśl wielka, zawrotny lot... wszystko! wszystko nowe, niespodziewane, nawskroś oryginalne, nazbyt potężne!... niestety! genialne...

DRUMLA, BAZGRALSKI, MIERNOCKI. — Genjalne?! (wtórzili żalostnem echem).

RZYCKI (z uśmiechem). — Hm! — coś pewnie, jak tamten, tego ten, Wypsiański?... che, che, che... (podkpiwał dobroduszenie staruszek) też genialny, che, che, che...

KOZIOŁKIEWICZ. — Niema dziś, ojcie kochany, czasu na spory! Mówię: niebezpieczeństwo wielkie grozi, wam wszystkim.

GŁOSY: — Cóż będzie? — Cóż będzie?

DRUMLA. — Co z nami będzie? (biadał najgłośniej).

BAZGRALSKI, MIERNOCKI. — Z nami? (oburzają się) a to dobre! Z tobą chyba, kochany wieszcu! My, chwalić Boga, na lutni nie gramy.

KOZIOŁKIEWICZ. — Na miłość Boską, nie czas na spory! wszystkim, mówię. Wspomniał ktoś Wypsiańskiego? tu gorzej, stokroć gorzej: wszystkim grozi.

RZYCKI (z uśmiechem). — Przepraszam cię, kochany... wyłączysz chyba, tego ten, moje gawędy, tego, etyczne?

BARON SCHAFFENDORF. — No! i moje powieści, n'est ce pas? (wycedził).

BAZGRALSKI. — Proszę także o mój teatr!

KOZIOŁKIEWICZ. — Wszystkim! mówię. A skoro mówię, to wiem, co mówię! Oto corpus delicti: tu tom poezji, tu dramat. Są także rzeczy krytyczne; wiem. Napewno są szkice etyczne; powieść, przypuszczalnie, — a kto wie, czy niema satyry...

BARON SCHAFFENDORF. — Pas possible! na wszystkich polach?

GŁOSY: Co z nami będzie?... Co będzie? Co będzie?

DRUMLA. — Ledwieśmy od tamtego odetchnęli...

BAZGRALSKI. — Ledwieśmy odsapnęli od tego Wyspiańskiego, a już znowu!

GŁOSY: Co począć? Co począć?

KOZIOŁKIEWICZ. — O to właśnie idzie.

RZYCKI. — Ach, ta, panie tego, nieszczęśliwa głupota ludzka: ciągle daj coś nowego! coś lepszego, che, che... jakby najlepsze, tego ten, nie to, co już było?... tego, Mickiewicz?

PROSIAKIEWICZ. — Nie to co jest? (poprawił godnie).

KOZIOŁKIEWICZ. — Nie wiem, moi drodzy, co tam dla kogo najlepsze, ale wiem, że grozi najgorsze ...bo wiem, o czym i o kim mówię.

WSZYSCY. — O kimże? O kim?

KOZIOŁKIEWICZ. — O Bogdanie Ogniskim!

WSZYSCY (jak zasugerowani). — O Bogdanie Ogniskim?!

BARON SCHAFFENDORF (z lekceważeniem). — Connais pas!

RZYCKI (wysiłając pamięć). — Ogniski?... Ogniski?... jakoś, panie tego, nie słyszałem. Ogniski, mówisz?

KOZIOŁKIEWICZ. — Tak, ojczy! tak się nazywa ten nowator.

RZYCKI. — Nowator? (poruszył się wreszcie staruszek). — To źle, panie tego, to źle... Nowator? hm!

Romułd Minkiewicz.

Prenumerata półroczn. Mk. 1200. Cena numeru Mk. 200

Konto czek. w P. K. O. Nr. 4470.

Redakcja: Warszawa, Poznańska 14 m. 19 w lokalu ob. Józefa Landau, tel. 126-55.

Administracja: Warszawa, Królewska 16, tel. 118-14.

Redaktor przyjmuje w soboty od 6—8 wiecz.

Sekretarz redakcji przyjmuje w poniedziałki i czwartki od 6—8 wiecz.

Administracja czynna codziennie od 1—7 prócz dni odpoczynkowych.

Redaktor: R. MINKIEWICZ.

Wydawca: w imieniu Stow. Wolnomysłicieli Polskich D. JABŁOŃSKI.

Łączono w drukarni R. Olesiński, W. Merkel i S-ka, ul. Chłodna № 37

Administracja posiada na składzie następujące dzieła:

IGNACY RADLIŃSKI:	Mk.
Dwa dokumenty ludzkości	800
Na przełomie dziejowym	1000
Spinoza	2000
Dzieje 3-ch osób w jednym Bogu	1800
Katolicyzm, Modernizm i Myśl Wolna	1000
 ANTONI SZECH:	
Dlaczego?	200
Katolicyzm a polskość	300
Być albo nie być	200
 J. BAUDOUIN DE COURTENAY:	
W „Kwestji żydowskiej“	500
 ROMUALD MINKIEWICZ:	
<i>utwory sceniczne:</i>	
Lucjan, dramat współczesny i przyszłych pokoleń (5 aktów i prolog)	750
Królewna Morza, baśń dramatyczna w 4 aktach.	600
<i>Poezje:</i>	
Nad morzem mojem, księga tęsknoty	800
 JÓZEF KRAJEWSKI:	
Na progu poznania	300
Pod pieczęcią milczenia	500
 Z. LILIENTALOWA:	
Precz z barbarzyństwem (rzecz o obrzezaniu) .	40

Wysyłka za zaliczeniem pocztowem.

Wyszło z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach:

JÓZEF KRJEWSKI

Księgi Bytu Rozdział Trzeci.

Pod Pieczęcią Milczenia.

Cena Mk. 500.

Skład Główny w Księgarni Spółdzielczej „Książka“
Warszawa, ul. Krucza № 26.